

Miłośnicy „varsavianów” nie mogą uskarżać się na posuchę. Warszawa, jej przeszłość i czas dzisiejszy ciekawi i pociąga nie tylko czytających, ale – co jeszcze ważniejsze – piszących. Każdy miesiąc niemal przynosi jakąś nową niespodziankę, a wśród powodzi druków znaleźć można i prawdziwą rodzinę.

Mamy taką właśnie rodzinę. Jest nią pełna uroku, dowcipu i erudycji książka Władysława Zambrzyckiego, poprzedzona, zanim w prasie pojawiły się o niej wzmianki, głuchą wieścią między ludem. Ja tam się na tym nie znam – mówiąc słowami autora – i tylko zapisuję, co ludzie na mieście mówią. A mówią, że książka wywodzi się z najlepszej tradycji gawędziarskiej owych dworskowych opowiadaczy z osiemnastego wieku, których tak serdecznie wspominał Mickiewicz; mówią także, że jest to rzadki rodzaj utworu pisanego prozą, który wprost domaga się głośnego czytania. „Pamiętnik Filipka” – tak się nazywa ta piękna książeczka – rozpoczyna się wstępem, w którym autor, robiąc do nas perskie oko, zapewnia z powagą, że to, co przeczytamy dalej, jest znalezionym przez niego pamiętnikiem warszawskiego gawrosza z początku ubiegłego stulecia. I stawiając kropkę nad i, aby zabawa była tym lepsza, dodaje jeszcze: „Wybraliśmy ustępy najważniejsze, powiązane jako tako w logiczną całość. Po gruntownej przeróbce, niektóre słowa i zwroty, a nawet dłuższe opowiadania pozostawiamy bez poprawek, aby zachować próbki ówczesnego języka warszawskiego”.

Zartobliwy podstęp autora nie chybił celu. Przed kilku dniami znalazłem się w towarzystwie, w którym znany publicysta warszawski wystąpił z zarzutem pod adresem Zambrzyckiego, iż nie poprzedził pamiętnika Filipka rzeczowym wstępem i informacją o znalezieniu tego wartościowego utworu. Ba, nie pierwsza to i nie ostatnia ofiara tego rodzaju mistyfikacji literackiej, która od czasu Macphersona i jego „Pieśni Osjana” ma długą tradycję. Toć i nasz Jan Potocki swym „Rękopisem znalezionym w Saragossie” wprowadził w błąd wielu współczesnych, prezentując w przedmowie swój utwór jako znalezisko hiszpańskie.

Wcale się więc nie zdziwię, gdy ten i ów czytelnik uwierzy w autentyczność „Pamiętnika Filipka”. Bo też autor dziś po trosze zapomnianej świetnej „Naszej Pani Radosnej”, wydanej w dwudziestoleciu (czyż nie byłoby warto jej wznowić?) urzeka nas nie tylko wdziękiem, świeżością pomysłów, prostotą, pogodą, lecz i dobrym – w całym tego słowa znaczeniu – rzemiosłem pisarskim.

Opowiadanie Zambrzyckiego oddaje w sposób żywy i, co więcej, prawdziwy, klimat obyczajowy i społeczność warszawską z czasów, kiedy miasto nasze było przez krótki czas stolicą Prus Południowych. Autor czerpał z bogactwa ówczesnych pamiętników, listów i innych źródeł, ale – jak zręczny jubiler – z surowego materiału wytopił istne cacko. I tylko niekiedy możemy odkryć sekrety jego warsztatu, jak w tym na przykład przypadku, gdy mówi, że olej lniany jest szkodliwy i kołtun wywołuje. Aha – myślimy, radzi z odkrycia – toć to z pamiętników Adama Moszczyńskiego.

Morał jest prosty: biegnij, czytelniku, do najbliższej księgarni, bo książka jest już, jak się zdaje, na wyczerpaniu. Nie pożałujesz tego, niewielkiego zresztą, wydatku (zł 7,70). Ilustrował książkę Antoni Uniechowski z właściwym sobie wdziękiem i wyczuciem stylu.